

Brak Słów – nr. 2

8.10.2021



Spis treści

PUBLICYSTYKA

Wyciskacz łez z najwyższej półki — recenzja <i>Cicho, cichutko</i> Ignacego Karpowicza.....	3
Ile kosztuje Złota Maska?.....	6

POEZJA

Podróż w pustkę	12
Traktat o supremacji.....	13

PROZA

Broda	14
Żegnamy dziś.....	19
Nerwy.....	21
Uprawa roli.....	24
Tańcząc z osami	27

GOŚCINNIE

Skok.....	30
Pora	31

Wyciskacz łez z najwyższej półki

— recenzja *Cicho, cichutko* Ignacego Karpowicza

Dominik Prądyński

Rzadko kupuję książki. Jakoś szkoda mi tych drzew, które trzeba ściąć, a już do kwadratu szkoda mi pieniędzy, bo w końcu jestem biednym studentem, więc kiedy już w drodze wyjątku kupię jakąś pozycję, odczuwam kolosalną presję w trakcie czytania. Ręce drżą jak w alkoholowym delirium. A co, jak mi się nie spodoba? Pamiętam, że zacząłem czytać *Cicho, cichutko* w autobusie. Już po dwóch przystankach powiedziałem pod nosem: no, masz szczęście. To było skierowane chyba do Karpowicza. W innym wypadku może złożyłbym reklamację do samego pisarza.

Jego styl powala mnie za każdym razem. Nie wiem, czy to zasługa asa w rękawie w postaci studiów polonistycznych, czy po prostu wrodzony geniusz językowy, ale czyni on istne formalne cuda. Nazwałbym go prozaikiem lingwistycznym. Jeśli dodać do tego jego zdolność łączenia w spójną całość różnych odległych pozornie skojarzeń i pogłębiania obrazu poprzez inne, kompletnie odrębne, wychodzi nam doskonała czytelnicza ucztą, dla niektórych jednak ciężkostrawna.

Karpowicz opowiada historię Michała i Anny, czyli chorego na raka mężczyzny i jego zimnej jak gładz ciotki, która wraz z dziadkiem go wychowywała. Towarzyszą im Pisarczyk – Mateusz oraz ukochana Michała, Staśka. Wszystkich przenika śmierć, która wisi w powietrzu

i mimo że wyczekiwana, nie chce nadejść. Powieść stanowi studium nie tylko samego umierania, ale przede wszystkim afirmacji przemijania. Fabuła prawie do samego końca wije się jak wąż, by potem z tych zawiłości wyłonił się spójny splot wydarzeń. Skończyłem czytać *Cicho, cichutko* z półotwartą z wrażenia gębą, mając minę, jakby mnie zakłuła wątroba. Tyle w skrócie mogę powiedzieć o samej fabule.

U Karpowicza najbardziej chyba dotyka sposób, w jaki przedstawia emocje bohaterów. Używa poetyki nerwowego śmiechu na przemian z poetyką odwróconego wzroku. Pisarz upycha ogromne ładunki emocji w malutkich gestach, w niezauważalnych dla nieuważnego czytelnika słowach-kluczach, dotyka uczuć obrazami i skojarzeniami, ale unika mówienia o nich wprost. Bohaterowie często zachowują się, jakby robili wszystko, żeby je zamaskować. To trochę taki wybujały behawioryzm, gdzie w zasadzie musimy czasem domyślać się, co postaci czują, ponieważ ich emocje nie są nazywane, wszystko jest okrężne, opisowe, za szerokie albo za wąskie, nigdy w punkt i po imieniu.

Jako że należę do grona osób wysoko wrażliwych, bardzo łatwo się wzruszam. Jedynym wyjątkiem od tej reguły jest literatura. Stąd moje zdziwienie, kiedy dotarło do mnie, że wracam nocą z pracy i leję rzewne łzy, dławiąc się smarkami, bo książka czytana w autobusie zrobiła emocjonalne tornado w mojej głowie.

Niektórzy obrzucają Ignacego Karpowicza błotem za jego rozmach stylistyczny. Nie wiem, na ile to kwestia gustu, a na ile kompetencji odbiorczych. *Cicho cichutko* nie jest wyjątkiem – wszystkie poprzednie powieści są tak samo trudne zarówno na poziomie samego języka, jak i chwytów narracyjnych. Idąc za formalistami rosyjskimi, można by rzec,

że Karpowicz bardzo intensywnie *udziwnia* rzeczywistość. Dla niektórych nawet za bardzo.

Najważniejsze jest w tym wszystkim to, że nie szkoda mi wydanych pieniędzy i papieru, który został wykorzystany do wydrukowania tej powieści. Nie powiem, że polecam ją kupić, bo nikt mi za jej promocję nie zapłacił. Jak już wspomniałem, nie jestem zwolennikiem kupowania książek, ale na pewno gorąco polecam wypożyczyć *Cicho, cichutko* w bibliotece i przeczytać, nawet kilka razy. Zapewniam, że jest do czego wracać.

Ile kosztuje Złota Maską?

Dominik Prądyński

Ambicja jest dla wielu z nas duchową kofeiną. Przy dużym jej stężeniu transmutuje się w substancję narkotyczną, pochodną opioidów. Nie jest to jednak lekcja chemii, tylko smutna i pełna wstydu opowieść o moich zmaganiach z aktorstwem, tylko że tu nie chodzi o żadne aktorstwo – to tylko przykrywka, bujda, bajka dla naiwnych dzieci szukających sensacji.

Zarysujmy fabułę: jest rok 2019, dowiaduję się od serdecznej przyjaciółki (którą potem przeklinam za rozpętanie sztormu w naszych losach) o pewnym spektaklu. *Pomysłowe mebelki z gąbki*, Teatr Studyjny w Łodzi. Lubimy teatr, lubimy sztukę, coś tworzymy, w coś się bawimy. Nic poważnego. Toteż idziemy. Odstawieni jak stróże w Boże Ciało rozsiadamy się na widowni. Mijają trzy godziny. Wychodzimy, odpalam papierosa, bo jeszcze wtedy palę, i zastanawiam się, co się w ogóle stało. Jestem oczarowany, Jezu, Karolina, muszę kiedyś wejść na tę scenę, rozumiesz, choćby nie wiem co. I w zasadzie tak można opisać genezę mojej przygody.

I na tej scenie pamiętam Annę Paligę, o której kilka lat później ma być głośniejsze niż zwykle i to nie za sprawą jej aktorskich dokonań, tylko za sprawą dokonania społecznego, którym jest demaskacja horrendum mającego miejsce w światku aktorskim. Przypominam: to tylko ironia losu, nie będę ściągać tutaj widma tej młodej kobiety, która swoje już przeżyła. Zostawiam to jak paproch, który fruwa po pokoju, niby nieinwazyjny, a wiadomo już, że nikt tu nie sprząta dokładnie.

Zacząłem swoje przygotowania, w które wciągnąłem innych ludzi. Los bardzo nam sprzyjał – okoliczności rozwoju spadały z sufitu. I przyznaję, że wyniosłem z tej całej przygody wiele umiejętności, żeby nie było, nawet jeśli to pewnego rodzaju plusy ujemne. Cena: trochę polskich złotych, czas i przede wszystkim zszargane zdrowie psychiczne. Tylko że to też nie do końca o tym. Ale idźmy dalej.

Nie chcę wchodzić w szczegóły. Są jak spacer po kanałach, ekskrementy nokautują zatoki, więc po prostu rzucę parę cuchnących haseł: wieczorne spotkania w teatrze kończące się maratonami łkania w poduszkę, zawistne spojrzenia w kierunku każdego konkurenta, których rozsądek ani sympatia nie mogły powstrzymać, autoagresja w przeróżnych formach, bo w naszych głowach jesteśmy beznadziejni. Wiadomo, bywało lepiej, bywało gorzej. Wiedziałem, że trochę błądzę, ale nie umiałem zrezygnować. Dlaczego? Przez długi czas nie mogłem znaleźć na to pytanie logicznej odpowiedzi.

Zawsze w ostatniej chwili pasożyt zwany ambicją łapał za łokieć duszy i mówił: chcesz się poddać? I z czym potem zostaniesz? Tu był pies pogrzebany – bo przecież już każdy wiedział, że jestem na tej ścieżce, że trzymam w ręku bilet w jedną stronę, że Panem Tadeuszem podbiję serca ludzi, których widać na ekranie kina podczas emisji kolejnej polskiej komedii romantycznej i będę studiować w mitycznej Filmówce czy innej Akademii Teatralnej. Z moją aktorską paczką wpadliśmy w śmieszoną bańkę, zakłęliśmy rzeczywistość. Nie było odwrotu. Kiedy mówiłem komuś nieśmiało, że startuję na studia aktorskie (nie, że na nich jestem, przecież to mi się nigdy nie udało i nie miało udać), widziałem błysk podziwu w cudzym oku. Stawiano mnie od razu wyżej w hierarchii społecznej, nagle robiłem się inteligentniejszy, przystojniejszy,

zabawniejszy, wyższy, wybielały mi się zęby i ciemniały brwi, głos mi się obniżał odwrotnie proporcjonalnie do atrakcyjności i uroku osobistego. Klęska byłaby gorsza niż śmierć.

A to co robicie na tych zajęciach? Co? Matko, ale super, szacun, Jezu, wow... tych mikropeanów pochwalnych mógłbym wypisać wiele. Chodzę na zajęcia ruchowe, robię gwiazdy, tańczę balet, śpiewam piosenki ludowe, uczę się na pamięć ton Mickiewicza. I to wzbudzało zawsze taki zachwyty. Niby mnie to teraz bawi, lecz z drugiej strony – czy nie mamy zakodowane, że „chodzenie i robienie” to opcja tylko dla rodzin zamożnych, gdzie dzieci są tresowane pod profesję, pod medal, pod tytuł? Mamy wbite do głów, że bez potrzeby mamy się nie rozwijać, mamy nic nie robić dla siebie i w siebie nie inwestować, jeśli nam się to nie zwróci w pieniądzech, najlepiej w jakiejś lepszej walucie niż marny złoty. To też mnie trzymało przy tym katorżniczym momentami trybie życia. Jak odejdę, to co? Będę sobie czytać Mickiewicza w ciszy i co najwyżej napiszę o nim na egzaminie z romantyzmu, który mnie czeka na tej żałosnej polonistyce. Bo wszystko, poza moim celem, jest żałosne i w ogóle do dupy. Nie chcę być marny i żaden, jak ci wszyscy ludzie wokół. Dotychczas szedłem po utartej ścieżce szarości, ale zamiast pójść swoją własną, topograficzne lenistwo skłoniło mnie ku wejściu na inną, nadal utartą ścieżkę, na której ktoś rozłożył czerwony dywan, poplamiony, zakurzony, Vanish by sobie z tym nie poradził... i dobry terapeuta chyba też nie.

W pewnym momencie zrobiło mi się przed sobą samym wstyd. Straciłem kompletnie szacunek do swojej osoby, zignorowałem swoje dobro i brnąłem ślepo donikąd. Pełen obaw porzuciłem marzenia o wykonywaniu zawodu, który nigdy miał mnie nie czekać. Dzisiaj się

z siebie śmieję, ale czułem, że ważą się moje losy. Wybór kariery to dla ludzi w wieku dwudziestu lat kwestia paląca. Stoicki spokój i elastyczność przychodzą z czasem, w dodatku nie do wszystkich. Ile nas wszystkich kosztowało, żeby sobie uświadomić, że możemy nadal się rozwijać, bawić, eksperymentować, bez żadnego bata nad głową, bez żadnej sakralnej misji?

Wszystko, co jest dobrą zabawą, zostaje nam odbierane i zamieniane w szereg profesji. Nie możesz malować obrazów, chyba że robisz portfolio na Akademię Sztuk Pięknych, nie możesz pobiegać po boisku z piłką dla rozrywki, jeśli nie marzy ci się reprezentacja Polski, nie możesz tańczyć, nie możesz śpiewać, nie możesz czytać, słuchać, oglądać, oddychać ci nawet nie wolno, jeśli nie jest to zajęcie produktywne i przynoszące pieniądze.

Ktoś z zewnątrz na dźwięk historii o marcowej aferze w Filmówce doznałby głębokiego szoku. Ale jak to? To nikt się nie odezwał wcześniej? Ile lat mają ci ludzie? Pozornie wygląda to co najmniej dziwnie – zgraja młodych dorosłych, przebojowych i pewnych siebie, z szeregiem talentów, czasem może z lekko przerośniętym ego, nie jest w stanie powiedzieć „NIE”, gdy ktoś staje przeciwko nim?

Ale już to rozumiem. Na początku napisałem tutaj: „Dam sobie nawet uciąć palec, bo ręki może mi szkoda, że niejedna kandydatka do szkoły teatralnej pomyślała sobie po liście Paligi: dziewczyno, ja się chętnie zamienię, oddam jeszcze w zestawie nerkę i zaparzę kawę”. Pokazałem paru osobom powyższy elaborat i usłyszałem, że tak, o tak, dokładnie to sobie pomyślałam. Zdałem sobie sprawę, na czym polega zdradliwość tych wszystkich elitarnych kierunków i zawodów. Chodzi w nich

o podnoszenie swojej wartości. Kapitalistyczne społeczeństwo, w którym żyjemy, zainstalowało w naszych mózгах nielogiczny algorytm „wyceniania” człowieka. Odchodzimy od przekonania, że jesteśmy różnorodni, a każda osobowość jest po prostu bezcenna. Zaczęliśmy traktować się jak postaci z MovieStarPlanet. Wartoścujemy siebie samych w zależności od tego, jak nas postrzegają inni. Musimy być lepsi, wyróżniać się (bo to, co pospolite, jest gorsze) i stale pozostawać w najwyższej produktywności. Bycie aktorem to przekraczanie własnych granic, a więc ten, kto podołał wszelkim próbom, jest niepokonany. To samo dzieje się, kiedy chcesz zostać prawnikiem/prawniczką, pracować w modelingu, być artystą/artystką, można by wymieniać i wymieniać. Wieczna gonitwa za czymś, co podkreśli efekt wow.

Zobaczywszy informację o skandalu na Instagramie Anny Paligi, zareagowałem dychotomicznie. Najpierw wbiło mnie w fotel, że jednak coś się zmienia, coś idzie ku lepszemu, super, świetnie! No i szybko zrzędała mi mina. Łatwo polec w walce z lękiem przed porażką i oczywiście jest, że większość nadal czeka pewna śmierć na tym polu bitwy. To, co robią perfidni wykładowcy, wynika z dostępu do broni, jaką jest możliwość odebrania studentowi jego marzeń. To, co przeżywają kandydaci w trakcie przygotowań, wynika ze strachu, że nie zostaną przyjęci przez nawet najmniejszą usterkę. Ale odwagą nie jest wcale zaciskać pięści. Odwagą, i to nieopisywalną, jest powiedzieć sobie: nie muszę tego robić w ten sposób, bo nie stanę się nagle lepszą osobą, kiedy pójdę czyimś śladem, pod czyjeś dyktando, według czyichś oczekiwań. Mogę to zrobić inaczej, albo nie robić tego wcale. I to niczego nie zmieni.

Cały czas pracujemy nad awatarem, nad ikonką postaci w grze, a nie chcemy pracować nad sobą. Dlaczego zadowala nas pikselowa

makieta ludzka przebrana w cekiny? Może warto ją podrzeć i zobaczyć, co jest za nią? Może nadejść dzień, kiedy obudzimy się w poczuciu wielkiej pustki. I nic poza tymi cekinami nie zostanie.

Podróż w pustkę

Justyna Marcinkowska

Podróż w pustkę
z różą w bagażniku.
To zabawne
że trzeba tylu kilometrów
żeby powiedzieć w przestrzeń
kamienną do widzenia.
Do widzenia w myśli.
Podróż bezprzestrzenna
światła i światło
też dla ciebie.
Pewnie już zgasło.
To zabawne
jak one gasną.
Podróż powrotna we mgle.
W głowie biało.
To zabawne
że zapomina się
że zapominam się
że zapominam cię.

Traktat o supremacji

Filip Kaczmarek

Bogatsi w nowe rany
i różnorodne siniaki –
dzieci z kolorowego filmu.

Tańczymy na gruzach
zawalonych kamienic,
nosimy maski z porcelany

Jesteśmy trucizną –
nasze barwne włosy,
nasze smutne oczy,
nasz ból wyuczony jak jedzenie nożem i widelcem.
Plastikowymi sztucami pokroiliście świat,
a my będziemy jego blizną

Gdy wszystko dąży do zniszczenia
wy nie ronicie nawet łązy
racząc się krwią duszonych krów
i nie zatrzyma was już nic
i nie zatrzyma was już głos
niby nic, nasz duch pokolenia

Na ziemi kończy martwy kwiat
by wreszcie wrócić do korzeni:
nim wypalicie serce ziemi
musicie oddać nam ten świat.

Broda

Katarzyna Zapała

Był taki jeden we wsi, co czytał. Książek nawet trochę miał. Jak byłem dzieckiem, lubiłem, gdy przychodził. Jakie on znał historie! Śmiali się z niego, bo on nic prócz tych książek nie miał. Dziecko, nawet wymienić ich nie mógł. Bo na co? Kto tam umiał wtedy czytać. I chodził tak z tymi swoimi książkami po prośbie — Broda go przezywali — i opowiadał ludziom historie. Czasem to od razu go przeganił. Ale mój dziadek był dobry chłop i mówił mu nie raz: „Broda chodź no, opowiesz coś Julkowi”. Dziecko, jak ja lubiłem tego słuchać. Mówił o wojnie, o Piłsudskim, że w Piekoszowie był, śpiewał mi piosenki... Miał jedną taką książkę, to pamiętam jeszcze, że rysunki w niej były. Pokazywał mi w tej książce tyle tych zwierzątek, że nawet nie myślałem, że takie gadziny istnieją. Mówił mi o ludziach, co mają czarny kolor skóry, mówił, że czytał o nich w książce. Wszystko wydawało mi się być w tych jego książkach. I też się chciałem nauczyć czytać. Miałem pięć, może sześć lat, to jeszcze nawet do klasy nie chodziłem. U Samców tam najstarszy się uczył i u Tkaczyków może chłopaki, ale tak to reszta nie. Mój dziadek czytać nie umiał. Pamiętam, jak jeździł do Kielc do doktora, żeby przeczytał mu listy od mojego tatusia. Raz doktora nie było, a dziadziuś na dworcu siedział. Zauważył tam dobrze ubranego człowieka i podszedł. Pyta grzecznie, czy mógłby mu list przeczytać, bo to od syna, a on nie potrafi. A ten popatrzył na list, popatrzył i mówi:

- Wszystko dobrze.
— Ale co dobrze?
— No wszystko dobrze u syna.

I odszedł. I dziadek mówi, że później zrozumiał, że tamten też czytać nie umiał, ale głupio mu było. Mi wcześniej nigdy głupio nie było, że czytać nie umiem. Ale jak Broda tak opowiadał, to sam chciałem się nauczyć. No to mówię kiedyś do dziadka – „Chcę czytać”. Patrzy się na mnie:

— A potrzebne ci to synku, a bo to czas jest? Do szkoły pójdziesz może niedługo, to się nauczysz.

A ja mówię, że chcę już. A mój dziadek dobry był chłop, a ja jedynakiem byłem, tatusia mojego nie było już przecież kilka ładnych lat, to dziadzius wszystko chciał, żeby mi najlepszego miał. To poszedł był do Brody i ugadał się z nim, że będzie Broda do mnie przychodził i nauczy mnie czytać. Przyobiecał mu tam metra zboża dać, co by mógł wymienić później lub sprzedać. Ale nawet jak przychodził do nas, to jak mamusia chleb upiekła to i dostał, bo u nas pszenicy zawsze było. No i tak zacząłem uczyć się czytać. Pisać nie pisałem, bo atramentu nie było, to rysował mi literki na piachu. To jak dziś pamiętam, że z tej jego książki pierwsze słowo, które sam wyczytałem to był krokodyl. Ja się pytam go, co to jest krokodyl. Pokazał mi rysunek. Jak się przeraziłem, to od razu w płacz. I płaczę. A ten uspokaja, mówi, że tu krokodyli nie ma, że są w dalekich krajach. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że wcale o tych krajach nie chce wiedzieć. Ale później znowu przychodził, uczył, szło mi coraz lepiej, to już po trzech może miesiącach potrafiłem czytać. I sześć lat miałem, bez szkoły żadnej Broda mnie nauczył. Dziadzius to się potem nawet cieszył, bo mu te listy od tatusia czytałem. A ja też byłem dumny, opowiadałem kolegom, jakżem coś przeczytał. Mówię im, że są ludzie o czarnym kolorze skóry, ciemniejszym niż ręce po żniwach. Mówię im, że są dalekie kraje i że w tych krajach to żyją krokodyle. Mówię,

że te krokodyle to trochę jak nasze raki, tylko dużo większe, ale pancerz też mają. Dziecko, i oni mi nie wierzyli, a jak przyniosłem im książkę od Brody, mówię:

— Macie dowód!

A oni, że to tylko literki. I w śmiech. Ja potem już czytać nie chciałem. Nie chciałem, żeby się ze mnie śmiali. Odniosłem książkę Brodzie. Jakaś złość mnie na niego wzięła i mówię mu, że po co czytać, jak to nieprawda. Ja, dziecko, uważałem, że cały świat jest w tych książkach Brody. I myślałem, że wszystko, co przeczytam, to jest prawda. Dowodów przecież nie szukałem, przeczytałem i wierzyłem. Broda tłumaczy mi spokojnie, że nie przejmować się mam, że ludzie się śmieją, bo sami nie umieją. Żeby nie wierzyć, że niepotrzebnie, że czytać jest warto. A ja jak się uparłem, to już nie chciałem więcej czytać. Nawet listy dziadziusiowi czytać przestałem. Ile było złości, krzyczał, że niewdzięczny jestem, że metr zboża oddał. Kilka razy to przez ten mój upór mi się dostało. Ale ja za nic czytać nie chciałem. Dziadzius chciał podstępem, mówi Julek, ale u tatusia nie chcesz wiedzieć co słyhać, zobacz, że pisze, a my nic nie wiemy. To ja wybuchłem, otworzyłem tatusiowy list i pokazuję:

— Co dziadek widzisz? Bo ja widzę litery i gdzie tu dowód?

— Julek, na co dowód?

— Że to tatusia słowa są? Że to tatuś pisze? Skąd wiesz, że u niego to wszystko dobrze? Skąd wiesz, że to on mówi, że wróci? To litery są, dziadek. Nie tatuś.

Już po tym moim wybuchu o listów czytanie mnie nie prosił. A tatuś w końcu listy wysyłać przestał. Zacząłem Brody unikać. On cały czas

po prośbie chodził, starzał się, a ja dorastałem. Z niego to wciąż się śmiali, bo on tylko z tymi swoimi książkami łąził. Jak przychodził do nas na podwórko, to z domu nie wychodziłem. Poszedłem przecież do szkoły, pięć klas skończyłem i nigdy w to, co czytaliśmy, nie wierzyłem. Pani zresztą szybko dała mi spokój z czytaniem, jak zobaczyła, że czytać i podpisywać się umiem. To zacząłem dodawania, odejmowania. I czytać, jeśli nie musiałem, to nie czytałem. W słowa nie wierzyłem.

Jak miałem szesnaście lat, to Broda umarł. Zima była i tej jednej już nie dociągnął. Dziadek to mówił, że może i trzeba było go wziąć na zimę. Poszliśmy na pogrzeb. Pamiętam, że przez całą mszę zastanawiałem się, gdzie są te jego książki. Jakoś się bałem, że może ktoś mu je zabrał. A bez książki nawet teraz w tej trumnie wyobrazić go sobie nie mogłem. Jak go do grobu wkładali, to nie wytrzymałem i pytam dziadka:

— A on z książkami? Włożyli mu do środka, nie?

— No gdzie, Julek, różaniec mu włożyli. Po co mu tam książki. Zanieśli pewnie do szkoły, albo spalili, kto wie.

Strach mnie nagle ogarnął, sam do siebie mówię, no po co mu tam te książki? Ale dziecko, wbrew sobie myślałem, i w głowie cały czas miałem: „A zakopcie mu te jego książki razem z nim”. Bo on w nie wierzył, może bardziej niż w Maryję. Ale Broda był wierzący przecież, to później się uspokoiłem.

Lata mijały, ja już dorastałem, no to w głowie tylko była praca, bo jedynakiem byłem, dziecko, tatusia nie było, słuch po nim zaginął. Dziadek też umarł i ja z mamusią ziemię obrobić musiałem. Jeszcze Tadeusz, Stasiowy syn, co nam czasem pomagał, to tyle było rąk do pracy. Właśnie któregoś razu na zimę, żeby dorobić, to z Tadeuszem i Witkiem

Wieczorkiem do gospodarstwa pod Wrocław pojechaliśmy, przy bydłociu robić. I tam jak z chłopakami trochę grosza zaoszczędziliśmy, to miasto zwiedzić chcieliśmy. Witek namówił, żebyśmy do zoo poszli. I chodzimy tam, oglądamy zwierzęta. Chłopaki to od razu lwy chcieli iść patrzeć, to poszliśmy szukać klatek. Znaleźliśmy, ale tam było tyle ludzi, co nic prawie nie było widać. Mówię im, że potem przyjdziemy, to ci, że nie, oni czekać będą. To sam ruszyłem, odwracam się, patrzę i, dziecko, co ja zobaczyłem!

Podchodzę bliżej, a tam takie bajorko było w dole i widzę kształt i pancerz, twardszy niż u raka. Leży bokiem, ma pazury, długi ogon, łapy, i patrzy się na mnie okiem, i to krokodyl był. Córeńko, ja przecież wiedziałem już, że istnieją krokodyle, ale jakżem go wtedy zobaczył, to mi się Broda przypomniał. I patrzy na mnie ta gadzina, a ja w głowie tylko miałem — ma pancerz i pazury, oczy, pływa, ma ogon. I wtedy pomyślałem, że przecież ja o krokodylach to już wiedziałem od zawsze. To się zastanawiałem, czemu tak dziwi mnie widok tego zwierza. I podeszli do mnie Witek z Tadkiem:

— No i nie zobaczyłeś lwów. Co ty tak stoisz? O, krokodyl!

A ja do nich mówię:

— Te krokodyle to trochę jak nasze raki, tylko dużo większe, ale pancerz też mają.

I dziecko, oni w śmiech i mówią do mnie, że mam rację. A ja wtedy tylko myślałem „A Broda to wiedział, tak pisało w tej książce. Pamiętam przecież”.

Żegnamy dziś

Justyna Marcinkowska

A. siedział ze spuszczoną głową i nawijał na zgrabny paluszek błękitną nitkę, którą znalazł na garniturze. Jakoś dziwnie i obco było mu wśród tych dobrze znanych ludzi. Naprzeciwko wujostwo, kuzyni, rozgadane ciotki. Po prawej rodzice, rodzeństwo, na lewo dziadkowie. Na krańcach mniej rozpoznawalni krewni, którzy rozmywali się, ale gdy się trochę skupić, to wspomnienia z nimi związane robiły się coraz wyraźniejsze. Sami bliscy, sami oswojeni, zawsze mu życzliwi. Chyba go lubili, a przynajmniej nie okazywali żadnej niechęci. Tylko teraz, ubrani w te żałobne kostiumy, wydawali się obcy i dalecy jak nigdy. Nawet radosny, zawsze sypiący żartami wujek R. krył się za jakąś ciemną zasłoną, która tłumiała jego promienistą aurę.

A. bał się podnieść wzrok, nie mógł znieść tego ponurego przemienienia, które dotknęło wszystkich, poza nim. Całą swoją uwagę skupił na niteczce, którą rozwijał i zawijał na różne sposoby. I tylko ta niteczka go tutaj trzymała, przytwierdzała do krzesła i uspokajała. Sądząc po kolorze, musiała być z ulubionej sukienki mamy, która gubiła nitki tak samo, jak gubił sierść staruszek Reks. W jaki sposób nitka znalazła się na jego nowiutkim garniturze? Tego już nie mógł tak łatwo rozgryźć. Coś ją musiało przyciągnąć. Może wiedziała, że będzie potrzebna, że będzie jedynym ratunkiem w tym dziwnym dniu.

A. nie pamiętał, jak znalazł się w tej ciemnej, dusznej sali. Wydawało mu się, że obudził się właśnie tutaj, a reszta dnia nie istniała. Zniknęło też wszystko, poza tym miejscem. Nie było już dni tygodnia ani godzin, nie było nic.

A. nie słyszał wiele, rozmowy docierały do niego dziwnie przygłuszone. Słowa trwały w zawieszeniu, rozwlekały się i nie kończyły, tylko cichły coraz bardziej i bardziej. Nie wiedział, czy ktoś zwraca na niego uwagę, czy proponują mu talerz rosółu, drugie danie i herbatę. Kilka razy zdało mu się, że słyszy swoje imię, ale nie podniósł głowy, żeby przekonać się, z czyich ust ono wypłynęło.

A. czuł, że zastyga. Tylko niebieska niteczka wymuszała ruch jego palców. Miał wrażenie, że po twarzy co jakiś czas muska go promień słońca. Okna były jednak zasłonięte grubymi zasłonami, które nie przepuszczały światła. A. chciał podnieść głowę, czuł, że gdy to zrobi, zobaczy okno wypełnione ciepłym blaskiem. I już prawie unosił oczy i prostował kark, ale... Ale nie miał już siły i było już za późno i okno oddalało się i ciepło wygasało powoli. Nie mógł nic zrobić. Palce zeszywniały i niteczka rozpoczęła podróż w stronę podłogi. Teraz już nic nie mógł zrobić. Odpływały wszystkie myśli, A. zanurzał się w samotności. Przestał zwracać uwagę na rodzinę skupioną wokół niego. Krewni otulali go szczelnie i chronili, choć skrywała ich czerń. W pewnym momencie wstali ze swoich miejsc, a mrok zafalował.

I jeden głos przedarł się przez zasłonę ciemności i rozgonił na chwilę ciężką mgłę, która pokryła całą salę. „Żegnamy dziś A. Naszego kochanego A.”.

Nerwy

Filip Kaczmarek

Jeszcze całkiem niedawno pytano mnie o to jak smakuje ból: czy da się w nim wyczuć cichą, lecz niezwykle wyraźną nutę choroby, mającą potencjał do objęcia pewną martwicą wszystkich moich receptorów smaku, czy też jest to coś niezwykle wyraźnego, ale nietrwałego. Nic z tych rzeczy, moi drodzy. Aromatu cierpienia żadną miarą nie da się przyrównać do tak ubóstwianego przez was tłustego pasztetu czy lodów Ekipy, bo jest on po prostu zbyt inny. Być może nie dysponuję odpowiednim zasobem słów, dlatego przedstawię sprawę bardziej ekspresyjnie i postaram się przywołać historię z pewnego wiosennego wieczoru.

Pamiętam tę datę doskonale – był to siedemnasty maja, wszędzie kwitły bzy, moje ulubione kwiaty, i wszystko było pełne ich delikatnej woni. Wyszedłem z pracy, po drodze zahaczając o piekarnię, w której kupiłem trzy bułki na kolację, a następnie postanowiłem skrócić drogę idąc przez park. Było niemalże poetycko – wierzby delikatnie uginały się na wietrze, trzepocząc liśćmi, ptaki śpiewały i tak dalej, a tutaj nagle dziewczyna próbuje hamować rowerem, wykonuje lekko przydługie salto w powietrzu razem z pojazdem i ląduje swoją alabastrową, nieskazitelną twarzą na betonie. W ułamku sekundy wszystko miesza się ze sobą: delikatne kawałki koloru kości słoniowej, czerwony płyn, różowo-pomarańczowe niebo z szarą barwą chodnika, w procesie tworząc kompletny paraliż otoczenia. Po chwili wznosi się przeraźliwy krzyk – najpierw głośno i wysoko, potem ciszej, następnie znów głośno i wreszcie przechodzi w równie przeraźliwe wycie, jeży włosy na karku, zmienia się

w płacz, ponownie słyhać krzyk, miesza się to z głosami ludzi, dźwiękiem syreny nadjeżdżającej karetki, wciąż śpiewają ptaki. Szczerbata wariuje, chaotycznie miota się i skrzeczy gorzej od pospolitości, zdaje się dziczeć. Wszystko to dzieje się w zaledwie kilka sekund, które raczą przypominać długie godziny. Nie od dziś wiadomo, że cierpienie znacznie spowalnia upływ czasu i wywołuje rozmaite anomalie w jego biegu. Wracając do meritum: w końcu przyjechało pogotowie i dziewczynę zabrano, ale cała sytuacja wywołała u mnie pewien głód – rozpaczliwie pragnąłem wtedy poznać istotę cierpienia, zrozumieć to, co tak blisko, a jednocześnie tak daleko tkwi w naszej świadomości. Potem poszedłem do domu. Na kolację zjadłem pół bułki z pasztetem. Myślenie odebrało mi apetyt.

Minęło trochę czasu, moje rozgorączkowanie trochę ustało. Jednak jak to w życiu bywa, historia kołem się toczy, toteż obsesja raczyła uderzyć we mnie ponownie. Tym razem było to na ślubie mojej siostrzenicy. Niedoszły mąż najzwyczajniej w świecie porzucił ją przed ołtarzem, mówiąc że kocha inną. Wybiegł z kościoła, głupia Olka jeszcze przez chwilę starała się za nim biec. Potem w swej bezsilności rzuciła się na ziemię i zaczęła zawodzić, irytujący skowyt odbijał się echem od marmurowej posadzki i kamiennego sufitu, efekt tylko się potęgował, dlatego wielu uczestników niedokonanej uroczystości postanowiło opuścić świątynię. Byłem jednym z nielicznych, którzy pozostali i pozwoliłem sobie na nieustanne obserwowanie sytuacji. Tym razem był to inny rodzaj bólu, powiedziałbym nawet, że silniejszy niż ten, którego doświadczyłem owego feralnego dnia w parku. Było to cierpienie roznoszące od środka, odbijające się echem, zupełnie jak głos Olki, mające w zwyczaju powracać, nasilać się, słabnąć, nikać i powtarzać cały proces

od początku. I tak bez przerwy. Z siostrzenicą nie miałem kontaktu od tego nieszczęsnego ślubu, podobno teraz zamknęli ją w jakimś ośrodku, nie wiem.

Teresa z Katapulty powiedziałaaby tutaj, że cierpienie uszlachetnia, odmawiając przy tym swoim pacjentom leków przeciwbólowych, a sama lecząc się w luksusowych klinikach Ameryki. Oczywiście się nie zgodzę. Sądzę, że cierpienie wyciąga z nas najdziksze instynkty, cofa naszą świadomość o miliony lat wstecz, przywołuje pierwotne obrazy. Ostatecznie dziczejemy, nie jesteśmy sobą. Niezależnie od bycia katem czy ofiarą, udręka potrafi być uzależniająca.

Jeszcze całkiem niedawno pytano mnie o to jak smakuje ból, dlatego podsumuję to raz na zawsze: jest on wszechogarniający, wszechstronny i słodki. Jest ciszą, którą jesteśmy w stanie ugryźć.

Na przyszłość nie radziłbym jednak ufać psychopatom.

Uprawa roli

Aga Becherka

W ogródku rośnie kilkanaście krzaczków truskawek. Są porosadzane symetrycznie, w czterech rzędach. Wszystko zostało zaplanowane w taki sposób, żeby promienie słońca, życiodajne cząsteczki energii, mogły bez przeszkód dotrzeć do każdego z owoców. Prosta kalkulacja – a ile z tego pożytku.

Ale nie samym słońcem truskawki żyją. Zanim zakwitną piękne, białe kwiatki, zanim zostaną zapyłone przez rój pracowitych pszczół, wreszcie zanim opadną płatki i pojawią się małe, zielone owoce, roślina musi przyjąć się w ziemi. Podłoże jest bardzo ważne – gleba nie może mieć zbyt zasadowego odczynu. Kwaśna też zepsuje sprawę. Idealne pH to około 5,5. Nietrudno je uzyskać. Trzeba też zdobyć dobre sadzonki i wsadzić je w odpowiednim czasie. Nie obowiązuje tu kalendarz juliański ani gregoriański. Natura zapomniała o reformie, dlatego należy pozostać przy obserwacji pór roku i umieścić rośliny we wcześniej wykopanych dołkach najlepiej z początkiem wiosny lub jesieni. Teraz tylko zapewnienie odpowiedniego nawodnienia i powinno pójść łatwo. Niebezpieczne są jednak wszelkiego rodzaju choroby, dlatego dogłębne oglądanie liści jest bardzo wskazane. Nie ma się czego obawiać, choć na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się dość skomplikowane. Do tego przepisu na świeże, pyszne truskawki prosto z krzaczka trzeba dopisać jeszcze czas i cierpliwość. Nie zdarza się raczej, by już pierwszego roku gałązki zaczynały uginać się pod ciężarem czerwonej rozkoszy. Co najmniej dwa lata – tyle trwa zadamawianie się skomplikowanego układu korzeniowego w tak skrupulatnie przygotowanym wcześniej podłożu. Przez ponad

siedemset dni pracuje się nad czymś, czego efektów nie widać, czego nie da się zmierzyć żadną znaną miarą, a w dodatku nie ma gwarancji, że przepis został wykonany poprawnie i wszystko się przyjmie. A jednak ludzie podejmują to ryzyko i z rodzicielską czułością dbają o te niewielkie, zielone roślinki. Często ich poświęcenie okazuje się owocne i przez lata mogą czerpać garściami z darów natury.

Spłodzenie dziecka wydaje się przy tym procesie niesamowicie proste. Przyjmując oczywiście, że nie przynosi go bocian, nie znajduje się go w kapuście. Wystarczy chwila (czasem nieuwagi) i jest. Tu nikt nie przejmuje się przygotowaniem rodziców do pełnienia nowej roli. Będzie, co będzie. Dzieci rodzą się przecież co dzień. Kiełkują przez następne dziewięć miesięcy (nie dwa lata!), można obserwować zachodzące podczas ich rozwoju zmiany. Pojawiają się na świecie i okazuje się, że potrzebują ogromnych pokładów uwagi. Ciężka to praca – trzeba je nakarmić, przewinąć, uspić... Czasem pojawia się także kolka, ale o tym lepiej nie mówić. Po początkowym okresie pełnej koncentracji na dziecku następuje pozorny moment wytchnienia. Tutaj zaczyna – na szczęście – obowiązywać znany wszystkim pomiar czasu i wraz z nadejściem pierwszego września, wypuszcza się potomka do przedszkola, później do szkoły. Po drodze trzeba kupić nowe ubrania (bo przecież rośnie niemiłosiernie szybko), zapewnić zabawki, zorganizować podręczniki, zeszyty i kredki. A majątek rozpuszcza się jak musująca witamina C. Poza tym – ileż to czasu trzeba poświęcić takiemu hobby, jak posiadanie dziecka. Wywiadówki, szczepienia, wizyty u dentysty, kolejki w sklepach – wszystko to należy wpisać do kalendarza, gdy na świecie pojawia się nowy człowiek. Ale przecież kiedyś ten „owoc miłości” dojrzeje i logika podpowiada, że przyjdzie czas na zebranie plonu.

Nic z tego, dorosły już potomek opuści swoją szklarnię i przepadnie w wirze własnego życia. Najwyraźniej nie można spodziewać się wyśmienitych rezultatów po tym przepisie. Kto jest jego autorem? Niejeden rodzic zadaje sobie to pytanie.

Ale na emeryturze każdy ma czas dla siebie, ma pieniądze dla siebie i całą przestrzeń dla siebie. I wtedy często wychodzi z mieszkania obciążonego dożywotnim kredytem, klęka na trawie i pochyla się nad ziemią, po której stąpa od dziesiątek lat. Przez mózg przepływa z prędkością światła myśl, a zaraz potem ciało poruszone impulsem wpada w zadziwiająco dobrze znany tryb. Następuje czas dokładnego planowania. Szybka wycieczka na rynek, koniecznie o świcie. Pół dnia przelatuje na wybieraniu najlepszego szczepu, tego, który zapewni ustom najbardziej niespotykane przeżycia smakowe. Potem powrót do domu i dokładne rozplanowanie każdego etapu pracy. Wszystko idealnie przygotowane. Łopata w ręce, nawóz czeka na wypełnienie swojego zadania odżywienia gleby. Gotowe – czas posadzić truskawki. Szkoda, że umiejętnie planowanie przychodzi z czasem.

Tańcząc z osami

Maja Aulak

W sierpniu 2020 roku miałam zaszczyt pracować przy straganie z owocami. Moje królestwo znajdowało się naprzeciwko przystanku, na którym materializowały się starsze panie wracające już z Rynku Bałuckiego z niedostatecznie jeszcze wypchanymi siatkami. Poranne tramwaje regularnie dostarczały nam porcje owych przesympatycznych konsumentek. Dzięki temu szybko musiałam się nauczyć podstawowych odpowiedzi na pytania o to, czy śliwka odchodzi od pestki i czy aby na pewno jest to węgierka oraz czy to wiśnia sokowa, czy deserowa i dlaczego cena czereśni to rozbój w biały dzień. Jednak najbardziej uroczymi klientkami były te, które w pełnym wzburzeniu przybiegały sprawdzić ceny i omieść mnie złowrogim spojrzeniem, jakbym była winna zamachowi na ich portmonetki.

Rozkoszując się piękną pogodą powodującą u mnie rozległe oparzenia każdego stopnia, udało mi się skrzyżować życiowe ścieżki z wieloma niesamowitymi postaciami. Jedną z nich był rubaszny dziadek, który przychodził zasypać mnie masą frywolnych dowcipów (głównie skupiających się na różnicach między żoną, narzeczoną a kochanką). Było mi przykro, że emanował niezadowoleniem z pożycia małżeńskiego, mimo to zazwyczaj odpowiadałam wymuszonym uśmiechem. Oczywiście nie można tak generalizować wszystkich starszych panów. Odwiedzało mnie również starsze małżeństwo. Przemili państwo przychodzili po śliwki i pytali, co akurat czytam. A, i był jeszcze głuchy pan, który próbował mi zapłacić guzikami. Ja mamrocząca niewyraźnie pod nosem, on niedosłyszający – świetny przepis na słabą komedię.

Gdy już zaprzyjaźniłam się z orbitującymi wokół mnie osami, poznałam panią, która była wisienką na torcie wszystkich babć. Babcia Hania – tak kazała się nazywać – odwiedzała mnie najczęściej, a wszystkich jej historii nie jestem w stanie powtórzyć. Próbując jakoś uporządkować ten wulkan informacji: babcia Hania w szkole lubiła geografię i nauczyciela od geografii. Babcia Hania prawdopodobnie uczyła się chemii, ponieważ przeszkoliła mnie z tajników ważenia śliwek jakimś specjalistycznym sposobem. Babcia Hania pracowała w jakiejś fabryce czy innym miejscu związanym z produkowaniem kabli. Babcia Hania to emerytka i entuzjastka wędkarstwa. Babcia Hania chciała adoptować psa i kupiła już obrózkę, ale niestety musiała zrezygnować, bo udało jej się zapisać na agroturystyczne wczasy w jakichś borach (nie pamiętam jakich). Babcia Hania pokazywała mi nowy telefon od córki i kapelusz od kochanka. Raz spojrzawszy na Buszującego w zbożu leżącego na blacie powiedziała: „Wiesz, dlaczego Lennon umarł? Nie? Przeczytaj do końca, to się dowiesz”.

Usilnie obliczając iloczyny cen i wag, uświadomiłam sobie, że od matematyki nie ucieknę nigdy. Zrozumiałam, jak istotne jest płacenie możliwie jak najdokładniej i w wyniku braku drobnych opracowałam innowacyjny system wydawania reszty za pomocą śliwek. Wśród klientów, których wspominam szczególnie ciepło, znajduje się pani od wiśni, z którą gawędziłam o tym, gdzie pojedę na wakacje, gdy już na nie uzbieram, o niewygodzie, ale i konieczności noszenia maseczki i o tym, jak bardzo lubi wiśnie. Niekoniecznie popierałam jej upodobanie, bo dla mnie wiśnie były okropne, lepkie, niewdzięczne w nakładaniu, a przede wszystkim były celem wędrówek turystycznych dla wszystkich os z województwa. Pamiętam też zabieganą bizneswoman,

która kupiła borówki w ilości „tak niech mi pani na ciastko sypnie” i stwierdziła, że pięknie się komponuję na tle tych owoców.

Zupełnym przeciwieństwem pani od wiśni był pan od wiśni, którego atrybutem były wdzięczne i wysłużone sandały. Kupował pokaźne ilości towaru w celu nalewkowym. Targował się ze mną, nie pojmując, że nie w mojej gestii leży udzielanie rabatów i nie mam ochoty dopłacać do jego zakupów. W trakcie żmudnego i bardzo przeze mnie nielubianego procesu pakowania wiśni, konsumował, ile mógł. Oczywiście w ramach darmowej degustacji.

Dumnie trwając pod niestabilnym i odlatującym parasolem, czułam się trochę jak żywa kronika ulicznych wydarzeń sierpniowych. Nadal pamiętam mężczyznę dyskutującego z chodnikiem (prawdopodobnie o jakimś meczu, ponieważ wychwyciłam słowo „napastnik”) oraz wybuchową, kłótniową parę o wątpliwym statusie mieszkaniowym. Najwyrazistszym wspomnieniem, jakie wyniosłam z tej przygody, jest dzień burzy. Wszystkie znaki na niebie i ziemi prognozowały nieziemski huragan. Podczas deszczowego preludium tej katastrofy zdążyłam odebrać telefon od szefa: „Cudownie, że Pan dzwoni, zapowiada się jakiś kataklizm. Mogę pakować już wszystko? Osłonić owoce od deszczu? Ale jak to Pan zaraz dowiedzie mi więcej malin?”. Podsumowując tę historię: dużo deszczu i łez, błyskawice i metalowy stragan, borówki na ulicy i śliwki na sośnie, parasol wywiany do innej dzielnicy i obojętni przechodnie. To był mój ostatni dzień w tej pracy.

Skok

Kamil Ostrowski

w dniu za zasłoną
w sekundzie ukrytej
w spojrzeniu spełnienia
gdzie cicho piętrzy się niebo
do doniosłej melodii Wagnera

dogasa ciało skropione krwią
z przepychu ograniczenia
z kajdan pysznego stręczyciela

nuci łza zrodzona miłością
z dychotomicznego tańca
z mostu dziurawego malca

ryczy szept przebudzony prawdą
z bezkresnego nie-miejsca
z kart gwieździstego bywalca

wiruje smyczek party sztuką
z pierwotnego widzenia
z nuty pierwszego cierpienia

...dopełnia się istnienia Graal

wtem ciało pali swój kształt
a duch obraca się w kole
a smyczek i łza nakładają swe wzruszenia
ostateczności ruch
finał swój zapowiada
akt ku nieskończoności
tylko Księżyc tak spuszcza wzrok samotności:
– bo oto ten w spiętrzonej niebie na wyrzutni wieczności strzela się
ku kosmicznej nicości!

oderwana komórka
przezroczyście szybująca jaskółka
zniewolonego istnienia morfina

ból piaszczystych istnień
gdzie skończoność tu
jest jedynym wyjściem

Pora

Dominika Gortat

Duchota i pot zapomniane przy świetle
gorącego lata,
Chlupnięcie kałuży pod butem nieistotne
Przy wspomnieniu o złotej jesieni,
Mróz na polikach nieodczuwalny
Przy pięknie srogiej zimy,
Zmienność pogody błaha
Przy budzących się do życia
Wiosennych kwiatach.

A jednak wciąż
Gęsty dym myśli ponurych kłębi się na myśl o
Lecie i temperaturze powyżej trzydziestu,
Jesieni i mokrych spodniach od lepkiej mieszanki
Wody z piaskiem,
Zimie i suchych, popękanych dłoniach
Przez chłód,
Wiośnie i ciągłych zawirowaniach –
Deszcz, słońce, deszcz, słońce.

A gdyby tak, kłęby odgonić
I zatrzymać się w porę
Na porę?

